

Rozdział 1

Pastor powiedział, że połączył ich Bóg. Pastorzy zwykli to mówić zawsze i wszędzie, ale Boża myśl czy też wola objawia się znacznie później, może w dzieciach albo nawet w dzieciach dzieci, w trzecim lub czwartym pokoleniu. Czasem objawienie wybucha jak płomień z dachów wśród nocy, świecąc daleko i przerażająco. Czasem jest ono tylko zagadkowym uśmiechem w dniu srebrnego wesela, łąną na dźwięk piosenki z czasów młodości, nie wygładzoną zmarszczką na obliczu leżącego w trumnie.

Ale ludzie z tej okolicy uważali, że pastor niepotrzebnie to powiedział. Narzeczony miał bowiem bardzo dobry węch, a czy był to dar Boga, tego nie mógł wiedzieć nawet pastor. Ottomar Karsten, brat ojca panny młodej, zamożny chłop z niziny, siedział sztywno i prosto w ławce i patrzył na młodą parę ciężkim, nieprzejednanym spojrzeniem, jakim zwykł był spoglądać na parę pociagowych koni, czy się do siebie nadadzą w zaprzęgu. Nie mówił nic i mina jego nic nie wyrażała, ale oczy patrzyły na dobrotliwą twarz duchownego jakby na rozległe pola, a nie wszystko, co na tych polach widział, było dobre.

Dalekie spojrzenie było dziedzictwem Karstenów. Nie w tym znaczeniu, żeby mogli wybiegając nim w przyszłość przewidzieć, kiedy najlepiej sprzedać pszenicę i jak się do tego zabrać, aby zdobyć kawałek gruntu, pola czy lasu. Było to spojrzenie, które nie zadowalało się samym zjawiskiem, formą jego stawania się. Cofało się ono wstecz, aż ku szarości, i wybiegało naprzód, w mrok. Dzieci rozbierały na części swoje zabawki i siadywały nad nimi w zamyśleniu. Starcy zwykli byli rozbierać na części życie ludzi, a przede wszystkim własne. I jedni, i drudzy próbowali składać z powrotem

Rozdział 1

to, co rozebrali, żeby było tak jak przedtem. Ich poglądy na ludzi i rzeczy były bowiem inne niż poglądy Boga i inne niż poglądy fabrykantów.

Przybyli oni znad Morza Północnego i osiedli w tej okolicy. Wszyscy byli tutaj jeszcze trochę obcy, z tym swoim powolnym sposobem mówienia i chodem, z surowością swego chrześcijaństwa i nieprzekupnością zapatrywań. Ich synowie byli udani, a żywość i prostota cechująca kraj i nowa krew, z którą się dzięki małżeństwom łączyli, łagodziły nieco sztywność, w której tkwili jeszcze głęboko korzeniami. Ale czego oni się pozbywali, to córki zdawały się zbierać jak do ciemnej czary i przechowywać w niej, jak gdyby jakaś surowo odmierzająca dłoń czuwała nad dziedzictwem, zezwalając wprawdzie na jego podział, ale nie na roztrwonienie. Do czary tej sączyło się ciężkimi, kroplami krwi to, co rosło w synach jako godny owoc drzewa żywota. Umiarkowanie stawało się wyrzeczeniem, dalekie spojrzenie zwracało się do wnętrza i przeobrażało w melancholię, ociężałość zmieniała się w niedołęstwo, prawość – we wrażliwość zbyt czulej wagi, a dawny delikatny rys smutku wokół mocnych warg drżał teraz w pokornym układzie ust i nadawał ich twarzom wzruszający wyraz dziecięcej bezradności, zaś rozczarowanym kobietom wyraz bolesnego osamotnienia. Nie byli oni jak uginające się na wietrze brzozy, które można w swawoli opasać tańcem, podobni raczej do ciemnych drzew, pod którymi człowiek siada, aby słuchać ich cichego szumu; spływa z nich łagodny smutek, a do chłodnej kory przytula się twarz.

Ludzie mówili o córkach Karstenów, że nie mają szczęścia. Może powinny były poślubiać duchownych z parafii, w których większość stanowiły dusze chore. Albo wiejskich nauczycieli, którzy jak samotne świece płoną i spalają się od nie spełnionej miłości bliźniego, od wiecznie nieudolnej gry na skrzypcach, od nie drukowanych nigdy wierszy. Ale działo się tak, jakby jakaś ciemna dłoń odsuwała je nieubłaganie od roli i ciszy ku małym miasteczkom tego biednego kraju, w ubogą ciasnotę małych urzędniczych domków, niby na opuszczone szyny wąskotorówek, nad którymi kołysze się

Rozdział 1

znużona lampa i rdza nie kończących się mglistych dni. Rodziły dzieci, w których, ginęły szlachetne cechy ich rodu, a nad ich twarzami pochylały się jak artysta nad gipsowym odlewem szlachetnego marmuru. Były pokornymi kobietami, ale hańba ich pokory tkwiła w tym, że musiały pochylać czoła przed czymś, co mniej było warte od nich, a mężowie wszystkich córek Karstenów byli mniej warci niż one. Pochylały się przed chciwością i przed marnotrawstwem, przed ciasnotą zatęchłej moralności i przed zuchwalstwem bezwstydu, przed udręką złośliwej zrzędności i przed biczem tyranii.

A przed śmiercią raz jeszcze odwiedzały zagrodę swego dzieciństwa. Resztką sił żywotnych przewyciężały głuche uczucie wstydu i mówiły o swoim życiu jak o spokojnej rzece z mocnymi mostami. Ale ich wzrok z ociężałą czułością przesunął się po ciemnych sprzętach z czasów młodości, po łąkach i polach, trzodach i zaprzęgach. Wieczorem siadały na ławie przy piecu, otuliwszy chustką ziębnące plecy, i prosiły, żeby opowiadać, opowiadać "o wszystkim, co wydarzyło się od tamtego dnia..."

Przychodziły zawsze same, bez mężów, bez dzieci, a kiedy odchodziły, oglądały się za siebie, dopóki można było dostrzec wierzchołki klonów, potem zaś siadały wyprostowane i składały ręce na kolanach jak po wieczerzy.

Wszystkie córki Karstenów spisywały testament. Zawierał on nie tylko rozporządzenia co do przedmiotów, będących ich dziedziczną lub osobistą własnością, ale ponadto zawsze ustęp, w którym dokonywały wewnętrznego obrachunku, często tylko parę zdań: "Miałam ciężkie życie. Niech Bóg wybaczy mnie i moim dręczycielom!" – czasem była to cała spowiedź. Tak jakby w chwili śmierci uświadamiały sobie, że już dość długo milczały i że winne są rodowi Karstenów, który w ich osobach został pokrzywdzony, aby jeszcze w drzwiach zwrócić się na chwilę ku niemu i pokazać, że one także dzielnie walczyły.

Rozdział 1

I wszystkie córki Karstenów wyznaczały cmentarz w rodzinnej wsi jako miejsce swego wiecznego spoczynku. Na ich pogrzebach zbierali się zwykle osobliwi ludzie, którzy żyli poza kręgiem rodziny, ludzie o poważnych, często zrozpaczonych twarzach: jacyś pognębieni i wyrzuci z czci, zabłąkani i skazani. Nie było tam granic wieku, rodu lub stanu, tylko głucha wspólnota jakiejś niepojętej straty. Nikt nie znał ich, ani nie wiedział o ich związkach ze zmarłymi, ale zawsze po uroczystości gospodarz i gospodyni podchodzili najpierw do tych wysłańców nieznanymi krajów, podawali im rękę i dziękowali z największym szacunkiem za zaszczyt, wyświadczony zmarłej.

A potem w rodzinnej Biblii kreślili krzyż i datę śmierci i na zgasłe życie spadała zasłona. O mężu i dzieciach nie było żadnej wzmianki, wracali w obręb należnych im granic. Ich imię było echem, ich istnienie cieniem minionego.

Gina Karsten, o której pastor właśnie powiedział, że Bóg połączył ją z narzeczonym, nie różniła się niczym od bogatych w cierpienia poprzedniczek swego rodu. Ale stało się tak, jakby natura, znużona długotrwałym i jednostajnym poważnym zachowaniem, w końcu trochę uległa chęci do zabawy i zmieniła strój i sposób bycia, co nie wpłynęło zresztą bynajmniej na nieodwracalny bieg wypadków. Dała ona dziecku piękne, smukłe dłonie, które wieśniak bezradnie trzymał w swoich i którymi sama Gina lubiła się bawić, jakby osobliwymi klejnotami pozostawionymi w domu przez obcego gościa. Natura odmówiła jej daru łez, toteż od dziecka tylko suchy szloch wstrząsał szczupłym ciałem, kiedy ból zastukał do drzwi; wynagrodziła to jednak z uśmiechem osobliwą różnorodnością barw poważnych oczu. Prawe było jasnoblękitne, błyszczące tajemniczo jak opal, kiedy spoglądało ku błękitnemu niebu, lewe łagodnie brązowe, zawsze trochę ocienione i patrzące w głąb, jak gdyby nie potrzebowało obrazów świata. Ten żart natury bynajmniej nie śmieszył ani też nie wywoływał wrażenia chorobliwego zniekształcenia, nadawał zaś surowej twarzy wyraz zagadkowy i niezgłębiony, wyróżniał ją

Rozdział 1

spośród ludzi spychając na samotne ścieżki, trapił pytaniami i podziwem, które się z nim wiązały, i sprawiał, że dziewczyna szła przez życie ze wzrokiem lęklwie ku ziemi spuszczonej.

Rosła cicho, zatopiona w sobie jak kwiat. Widziano, że kwitnie, otwiera się i zamyka. Ale nie dawała z siebie nic poza istnieniem, barwą i wonią, i łagodnym zwracaniem się ku słońcu. Kiedy na jej ciemnych włosach leżały zwiędłe liście, wiadomo było, że chodziła po lesie. Kiedy do jej trzewików przyłgnęła ziemia, było pewne, że szła za pługiem. Kiedy z drżącymi ramionami przycupnęła za piecem, osłaniając dłońmi suche oczy, wiedziano, że cierpi. Ale nic więcej nie wiedziano i było to błogosławieństwem jej dzieciństwa, że nie starano się więcej wiedzieć. Nikt jej nie zmuszał do mówienia wierszy czy opowiadania bajek, gdy spłotła dłonie z wyrazem cierpienia. W jej łóżku było zawsze jakieś zwierzę: pies, kot albo młoda sarenka. W jej książkach znajdowała się zawsze jakaś zakładka i matka często odwracała cicho oczy, kiedy do tych książek zajrzała. Gina nie lubiła robić czegokolwiek razem z innymi, w większym gronie, nawet w gronie rodziny. Lubiała natomiast podążyć parę kroków za ojcem, kiedy szedł przez pola, milczący, ze źdźbłem trawy w ręku. Wiedział, że ona jest obok, i od czasu do czasu odwracał się ku niej z milczącym skinieniem głowy. Obojgu to wystarczało, czuli się wtedy szczęśliwi.

Gdy miała dwadzieścia lat, widywano ją czasem chodzącą po polach z młodym nauczycielem z sąsiedniej wsi. Był to człowiek o chłopięcym usposobieniu, wesoły, obdarzony wielu prostymi uzdolnieniami i nieco zbyt chętnie błyskający oczami dla samego ich blasku. Nie wiedział zapewne, że rzuca siebie i swoje słowa nie w przyjazne i życzliwe milczenie, lecz w milczenie święte. Jemu potrzebne było jedynie wielokrotne echo i nie troszczył się zbyt o las, który mu odpowiada. A kiedy ludzie zaczęli już trochę plotkować, zaręczył się z córką gospodarza z sąsiedztwa. Gina nie chowała się już w kącie przy piecu. Nie widać po niej było zmiany, odmówiła jedynie udziału

Rozdział 1

w uroczystości weselnej. Kiedy szła za ojcem wzdłuż łąny pszenicy, która ucierpiała nieco od gradu, pochyliła się nad jasnymi plamami na uszkodzonych źdźbłach i powiedziała w przestrzeń pól:

– Ona to przetrzyma, ojciec...

Ostrożnie pogładził jej ciemne włosy.

– Tak, Gino – powiedział.

I znowu wszystko było dobrze.

W pięć lat później pojawił się w ich cichym życiu Albert Zerrgiebel. Nie da się o nim powiedzieć inaczej, tylko że pojawił się jak kret w nikiącym w zmierzchu ogrodzie. Cicho i niesamowicie podniosła się ponad nim ziemia, krótkie, przygnębiające milczenie – i oto był. Od początku raniło ją jego nazwisko. W brzmieniu nazwiska Karstenów było coś cierpkiego i dumnego, coś, co kojarzyło się z błyszczącą łopata i kamienistym polem, w które się z błyskiem wgłębia. W jego nazwisku zaś było coś rozdzierającego, chorego i udręczonego, co podkreślała jeszcze miękka bezkształtność imienia. Za pośrednictwem żandarma oświadczył, że pragnąłby "dostać zaszczytu", ponieważ bardzo cierpi nad swoim wdowieństwem. Dietrich Karsten, ojciec Giny, spoglądał chwilę w milczeniu na posła, wreszcie powiedział:

– To niesłychane, co też teraz należy do pańskich obowiązków.

Więcej na ten temat nie rozmawiano.

Ale zaraz następnego dnia po tej osobliwej zapowiedzi zjawiał się on sam. Nagle, niby kret, stanął na podwórzu człowiek w średnim wieku, w zielonym lodenowym płaszczu i miękkim filcowym kapeluszu, w wysokich butach, z sękatym kijem w ręku, jak gdyby uważał za właściwe przystosować cokolwiek swe ubranie do krainy, której granice zamierzał przekroczyć. Ale istniała jakby cicha sprzeczność pomiędzy jego strojem i twarzą, jakaś teatralna sprzeczność, która wprost wyzywała drwinę lub niechęć. Była to bowiem twarz, którą można by nazwać twarzą biurową, nie tylko ze względu na jej bla-

Rozdział 1

dość i niejaki przyćmienie, które zdawało się odbijać atrament i pył akt, lecz także na fałszywą uniżoność spojrzenia, które zwracało się stale jakby ku niewidocznym drzwiom i gotowe było objawić odpychającą, głuchą niemal pychę, gdyby tylko pojawiła się w drzwiach "publiczka". Wysoko podczesane, jasne wąsy tkwiły na tej twarzy jak etykiетка, były, jeśli tak rzecz można, przyklepione obojętną, władczą dłonią, która nie miała innych zadań prócz, robienia zapisków w rejestrze i umieszczania obiektu w wieczystej szufladce.

Z ronda jego niezbyt nowego kapelusza zdawała się spływać mu na ramiona cicha rezygnacja, otulając go jakby płaszczem. Ale przez szczeliny płaszczu wybiegały słabe spojrzenia ku sprawom tego świata, ku otwartym drzwiom stajni, stogom słomy, narzędziom rolniczym, tak że zdawało się go owiewać tchnienie spisku, jak gdyby pod swym niewinnym ubraniem nosił broń, nie wiadomo w co wymierzoną.

Okazało się, że na razie chce kupić krowę. Trzoda Karstenów znana jest przecież w całym powiecie, i tak dalej. Na co mu potrzebna krowa? Żeby mu dawała mleko, naturalnie. Mleko było dla niego od młodości czymś zachwycającym – powiedział: "jego ideałem" – a ponieważ posiada dom, tuż koło dworca, obok lasu państwowego, pan Karsten przecież wie o tym, Zerrgiebel widuje go często, jak przechodzi tamtędy, prawdziwy syn tej ziemi, i skoro do domu należy także obórka, powziął więc ten zamiar. Miał już kiedyś krowę, ale sprzedał ją po śmierci żony. Po prostu nie mógł znieść tego żalostnego, rzecz można, ludzkiego spojrzenia, jakie zwierzę zwracało na niego co rano, spojrzenia, które zdawało się pytać, gdzie podziewa się gospodyni.

Transakcja została zakończona i pana Zerrgiebla uprzejmie zaproszono na kawę. W rozmowie, którą prowadził starannie, ostrożnie i z nieco gorączkową otwartością, wyszły na jaw dalsze szczegóły. Był sekretarzem sądu w powiatowym mieście – to bardzo poważne stanowisko, jak zapewniał z lekka urażonym tonem, naprawdę poważne. Odpowiedzialność jest wielka, ponieważ sędzia pokoju...

Rozdział 1

no, znamy tych uczonych panów, praktyki im brak, a sama znajomość kodeksu to niewiele. Mógłby nawet powiedzieć, że w okresie ostatnich dziesięciu lat wyroki były w pewnym sensie wydawane przez niego.

Ten domek... tak, nabył go dlatego, że miasto go zabija, ludzie, duszne powietrze i tak dalej. A kiedy trzeba się dzień po dniu grzebać w ludzkiej nędzy i bezecności, dobrze jest wracać do pięknej, Bożej natury, gdzie drzewa szumią za oknami i kukułka kuka o młodości.

Podczas tych rozsądnych i pięknie wypowiedzianych wynurzeń jego mętne, blisko siebie osadzone oczy bez przerwy były skierowane na Ginę i każdy musiał zauważyć, że jego szare oblicze rozjaśniał wesoły, prawie pogodny blask, podobny odbiciu dalekiego słońca w matowych szybach.

Gina słuchała w milczeniu. Raz tylko podniosła swoje osobliwe oczy na jego twarz i zapytała cicho:

– Przepraszam, czy pan musi to robić?

Pan Zerrgiebel miał bowiem nieznośny zwyczaj od czasu do czasu splatać w nieprzyjemny sposób swoje długie, niezmiernie kościste dłonie i wydobywać z nich trzaskające odgłosy, jakby wyłamywał palce jeden po drugim. Potem starannie składał wszystkie dziesięć palców i przyglądał się im z upodobaniem, jakby chcąc się upewnić, że pozostały nieuszkodzone.

Zarumienił się nieco po słowach Giny, mała pionowa zmarszczka pojawiła się między jego szorstkimi brwiami i została szybko wygładzona.

– Niech pani wybaczy – powiedział pokornie – jest to zły zwyczaj, skutek mojej samotności, jakby niema prośba do Boga, kiedy w aktach sądowych odkrywają się przed moimi wstrząśniętymi oczami otchłanie człowieczeństwa...

Rozdział 1

We właściwym czasie pożegnał się, podziękował za niezwykłą, napełniającą go pewną nadzieją "lojalność" przy załatwianiu interesu, za serdeczne przyjęcie i piękne chwile w tak harmonijnym kręgu rodzinnym, co, tak, musi to powiedzieć, było niby balsam spływający na rany jego życia. W tym, że pan Karsten był łaskaw kazać odprowadzić do niego krowę, widzi dowód szczególnego taktu. Użył właśnie tego słowa.

W drzwiach odwrócił się, raz jeszcze wchłonął z nabożeństwem obraz ciemniejszej izby, niemal poufale skinął głową Ginie i pożegnał się, wypowiadając nieco zagadkowe słowa:

– No... może... nigdy nie wiadomo...

Gina stała przy oknie i patrzyła w ślad za nim, Lodenowy płaszcz powiewał na wietrze, sękaty kij zataczał w powietrzu szybkie koła i tchnienie nowego szczęścia zdawało się uskrzydlać stopy odchodzącego.

Od tego dnia Zerrgiebel zjawiał się w zagrodzie Karstenów w niezbyt krótkich odstępach czasu. Zawsze znajdowały się nagłące powody, a zakupiona krowa ujawniała tyle problematycznych właściwości, że jego prośbom o radę nie było końca. Można by sądzić, mawiał w zamyśleniu, że takie stworzenie to tylko głupie zwierzę, ale ono jest jak człowiek, zupełnie jak człowiek, i on mógłby już o nim zapisać ze trzy teczki akt.

Kiedy pozostawał sam z Giną, co zdarzało się od czasu do czasu, mówił o swojej duszy, największej świętości, jaką Bóg dał człowiekowi, i jak boleje ona nad pustką przyszłości. Gina spoglądała wtedy na niego z boku oczyma, o których osobliwości przestał już napomykać z zachwytem, odkąd zauważył, że ją to krępuje.

– Czy to wszystko prawda? – zapytała raz, a wysiłek, żeby dotrzeć poza rygle zamykające jego duszę, nadał jej twarzy wyraz fizycznego bólu.

Rozdział 1

Zerrgiebel poczuł się dotknięty, zapewniał, przysięgał, a wreszcie tragicznym gestem podniósł chusteczkę do oczu. Lęk, prawie przerażenie odmalowało się na twarzy Giny i bez słowa odpowiedzi lub pociechy odwróciła się i wyszła na podwórze.

Niestety matka Giny już nie żyła, a na chowanie się w kącie przy piecu dziewczyna była już za duża. Często siadywała przy kuchni, kiedy służąca gotowała zupę na kolację. Wielka izba była ciemna i tylko czerwony blask ognia igrał bezszelestnie z życiem ścian. Mogło się zdawać, że głośny dzień układa się tu na spoczynek, a wokół domu wyrastali z cieni drzew milczący strażnicy cichych godzin. O tej porze zimny strach wyzwał się niepostrzeżenie w sercu Giny. W czerwonym blasku zaciskała piękne dłonie, wsuwała stopy pod ciepłe ciało psa i patrzyła zmęczona, ale bez smutku, na grę płomieni. Teraz już nikt i nic nie przyjdzie, ani Zerrgiebel, ani całodzienny długi, pusty bieg godzin, ani pełne troski spojrzenie ojca, ani oblana blaskiem dal krajobrazu, z której wynurza się tylko postać listonosza, orzący zaprzęg albo ciemna gromada wron. Z pokoju słychać było kroki ojca, było ryczało w oborze i za sto lat o tej porze będzie zupełnie tak samo. Tylko ludzie będą inni, ale to, co wieczne i najbardziej pełne spokoju, jest przecież poza ludźmi.

- Teraz wschodzą gwiazdy, Margret – powiedziała cicho.
 - Tak, Gino.
 - Zawsze powinien być wieczór, Margret. Ludzie są wtedy lepsi, cichsi i nie widać tak wyraźnie ich twarzy. A zwierzęta idą spać i gwiazdy są takie miłe. Bóg jest o wiele bliżej niż za dnia.
 - Tak, Gino. Zawsze tak bywa. Kto jest zmęczony, ten jest dobry.
 - Czy myślisz... czy myślisz, że on także bywa zmęczony wieczorem?
- Milczenie.
- Powiedz, Margret.
 - On mówi trochę za dużo, Gino...

Rozdział 1

- Tak, okropnie dużo... wiesz, on jest jak trzcina nad rowem.
- Ludzie z miasta, Gino, są całkiem inni. To dla tego, że tyle tam okien i kamieni. Ale i oni bywają dobrzy.
- Czy myślisz... czy myślisz, że on umie płakać, Margret?
- Widzisz, Gino, z tym to jest tak. Ten gospodarz, u którego przedtem służyłam, był jak z kamienia i ludzie nazywali go dusicielem. Miał proces ze swoim parobkiem, bo nie wypłacał mu dniówek. Został skazany, a my wszyscy byliśmy świadkami w sądzie. I kiedy musiał zapłacić pięć talarów, to się rozpląkał. Przy ludziach. Tak to jest, Gino. A ty przecież także nie płaczesz?
- Ja płaczę dużo, Margret, ale bez łez.
- To bardzo ciężko, Gino.
- Tak.
- Czasem Bóg chce czegoś od nas, Gino, tylko my tego nie rozumiemy. Wtedy przychodzi aż do nasze go łóżka i do naszych snów.
- Chciałabym zostać tutaj na zawsze, Margret, aż mi włosy posiwieją.
- To wszystko przez twoje oczy, dziecko. Jedno chce śmiać się, a drugie płakać. I wtedy jest jak z dzieckiem, co nie może ani żyć, ani umrzeć... Ale idź już, bo tu zaraz przyjdą jeść.

Wtedy Gina wstała i pochyliwszy ramiona szła wśród gry świateł i cieni. Pies szedł z nią i kiedy przed drzwiami izby ojca jeszcze raz się odwróciła, wyglądało tak, jakby miała już nigdy nie wrócić.

W cztery tygodnie później Zerrgiebel uzyskał zgodę Giny. Wieczorem siedziała jak zwykle przed paleniskiem i patrzyła poważnie, niemal groźnie, jak popiele ją w płomieniach arkusze papieru kancelaryjnego, na których prosił ją, aby została jego żoną. Był to długi list o oszałamiających Ginę rozmiarach i równie oszałamiająca była dramatyczna natarczywość jego błagań. Dochodziły one do szczytu w dwu posępnych groźbach. Podstawą jednej było zatajone dotychczas wyznanie, że ma on po swojej zmarłej żonie dziecko, niesłychanie deli-

Rozdział 1

katnego i uroczego chłopca, który w miejskim internacie marnieje niczym kwiat w piwnicy i błagalnie zwraca ku niemu oczy, czy ojciec nie zechce dać matki jego osieroconemu sercu, i który w milczeniu umrze rychło, niby chore zwierzątko, jeżeli Gina nie usłucha Bożego wezwania. Druga groźba brzmiała krótko i węzłowato: że on sam, Albert Zerrgiebel, zdecydowany jest rozstać się z tym światem, zanim robak zgryzoty stoczy mu serce. Jego stary ojciec, człowiek godny, starej daty, taki, można powiedzieć, niemiecki dąb, na skraju grobu będzie jeszcze musiał i tego doświadczyć: zdjąć swoje dziecko z belki i zamknąć mu starczą dłonią wywrócone oczy.

Pierwszym wrażeniem, jakiego Gina doznała przy czytaniu tego tak pięknie wystylizowanego rękopisu, było wyraźne i niedwuznaczne uczucie wstrętu. Ale właśnie przeznaczeniem jej było to odczuć. Ponieważ tylko Bóg może żądać tego, co najtrudniejsze. Tak. Podejdzie do jej łóżka i do jej snów i powie: "Zaprawdę powiadam ci, co uczynisz najmniejszemu spośród tych, mnie uczynisz. A czego najmniejszemu wśród tych odmówisz – mnie odmówisz". I kiedy obmywała i opatrywała ropiejącą ranę bepańskiego psa, którego znalazła i wzięła do siebie, ukazało się jej to wszystko jako zrzędzenie losu i kiedy tuliła do piersi głowę skomlącego zwierzęcia, wiedziała już, co postanowi.

– Córki Karstenów nie mają szczęścia – powiedziała na dole do ojca – ale gdyby je miały, inni byłiby pewnie jeszcze bardziej nieszczęśliwi. Widocznie Bóg potrzebuje ich dla nieszczęśliwych.

– I pszenicy potrzebuje człowiek do szczęścia – powiedział Dietrich Karsten swoim spokojnym głosem. – Ale kosi ją i młóci, a potem zjada. Ale niech będzie tak, jak ty chcesz.

W ostatnią niedzielę października Zerrgiebel pokazał przyszłej żonie swój dom. Szła na piechotę i stała teraz przed furką małego ogródka, z rękoma w tył założonymi; obok stały jej dwa psy. Wyglądała jak kobieta z wielkich lasów, która przyszła do ludzi z trudnym posłannictwem czy też za pokutę i nie wie, czy kiedykolwiek powróci. Obejmowała spojrzeniem groźną niemal czystość ogrodu, w

Rozdział 1

którym oprócz paru nagietków nie rósł żaden kwiatek, mały, odstręczający dom i widoczne ponad jego dachem świerki na skraju lasu, który niczym mur nieprzebyty stał za tym ostatnim przejawem życia.

Usiłowała uśmiechnąć się bladymi wargami, kiedy Zerrgiebel wypadł z drzwi domu. Ale to się jej nie udało. Zerrgiebel rzucił niespokojne, nie pozbawione niechęci spojrzenia na oba psy i wprowadził Ginę do ogródka.

– To są moje łąny – powiedział dumnie, pokazując na wpół opróżnione grządki. – Nie depcz, proszę, po liściach kapusty – pouczył ją z cichą surowością. – To także stworzenia Boże i każdy listek to przecież łyżka zupy. Tu niczego się nie marnotrawi... Nie róbże takiej smutnej miny, to był naturalnie tylko żart.

Gina była daleka od tego, żeby mieć zatroskaną minę, zwróciła tylko na niego oczy z wielkim pytaniem.

Weszli do domu. "Pachnie atramentem – pomyślała Gina znużona – ale to nie szkodzi, mogłoby pachnieć czymś gorszym."

Na dole była kuchnia, pokój mieszkalny i coś w rodzaju salonu, na górze sypialnia i mała izdebka. Wszystko przesadnie czyste, chronione przed słońcem pokrowcami i osłonięte gazą od much. Wszystko było także przerażająco nijakie. Ani śladu ludzkiego oddechu w pokojach, tak jakby już od dziesięciu lat stały pustką. Było absolutnie nie do pojęcia, żeby tutaj kiedykolwiek śmiał się ktoś lub płakał. Martwe były ściany, posadzka, kąty, drzwi, a pod podłogą musiała znajdować się bezdenne piwnica, zapewne z beczkami pełnymi atramentu, omotanymi pajęczyną, a wstrzymywane tchnienie jej tajemnic przenikało przez szpary w podłodze i gdy Gina nasłuchiwała – a nasłuchiwała cały czas w przeraźliwym napięciu – wydawało się jej, że słyszy krople spadające w ciemnościach w jakąś głęboką czeluść, której straszną tajemnicę znał tylko uśmiechający się Zerrgiebel.

Rozdział 1

Gina musiała pić kawę, a Zerrgiebel opowiadał. Mówił bezustannie, a jego urzędniczo poprawne zwroty sunęły jak pas transmisyjny poprzez głąsę otaczającego ich milczenia. "On sypie na mnie ziemię – myślała Gina – ciągle coraz więcej, żeby pogrzebać mnie żywcem..."

– Gdzie jest dziecko? – zapytała wpadając mu w słowo.

– W mieście – odpowiedział z lekkim wyrzutem. – Chłopiec nie powinien wrócić, dopóki nie powita go miłość macierzyńska.

Nigdy nie mówił inaczej jak: chłopiec.

Gina podniosła się i powiedziała, że musi już iść. Nie, nie chce, żeby ją odprowadzał. Ojciec wyjdzie naprzeciw.

– Więc na Boże Narodzenie? – zapytał przy furtce ogrodowej.

– Jak chcesz.

– Rumak mój pobieży śmieie... – powiedział uroczyście.

Poszła.

Przekroczyła szyny, przystanęła chwilę i popatrzyła na błyszczące wstęgi, których współzależność i nieskończoność wzruszały ją boleśnie. Potem znalazła się wśród pól i cichy kraj, oświecony znużonym słońcem, złożył swój spokój u jej stóp. Lśniły jarzębiny, ciągnęły dzikie gęsi i krzyk sójki wypełniał pusty las. Zobaczyła w oddali drzewa zagrody i zatrzymała się z rękoma na głowach psów, z oczami zwróconymi ku owemu brzegowi szczęścia. Przez cały czas czuła jednak na karku spojrzenie Bożych oczu i wiedziała, że Bóg musi stać gdzieś w lasach za jej plecami, że stopy ma, być może, u owej furtki ogrodowej, a jaśniejące czoło wzniesione ponad ogołoczone z liści wierchołki drzew. I wiedziała, że Boga trzeba usłuchać.

Rozdział 1

Na ostatnim wzniesieniu stał gospodarz, wsparty na lasce ciężej niż zwykle, jak się Ginie zdawało, i patrzył ku niej. Powoli wspinała się piaszczystą drogą i czuła się tak, jakby dźwigała ogromny krzyż na miejsce męki, ale wciąż jeszcze jaśniało ponad koronami drzew srogie czoło i śledziło jej kroki.

Potem stali oboje na górze i patrzyli w stronę zagrody.

– Ładnie tam nawet – powiedziała wreszcie Gina.

A później zarzuciła ojcu ramiona na szyję i zapłakała bez łzy.

O tej samej godzinie Zerrgiebel siedział przy biurku i pisał do swego ojca, owego "niemieckiego dębu", że wesele zostało wyznaczone na Boże Narodzenie i że wobec tego nie taki on głupi, za jakiego go zawsze uważano. Rozpisywał się także w pięknie sformułowanych ogólnych wywodach na temat stosunków między ojcami i synami.

Nie we wszystkich najważniejszych punktach był bliski właściwego rozeznania. Zerrgieblowie otrzymali już w kołysce hojnie wymierzony skarb mowy, byli jednak akrobatami i handlarzami tego dobra i rozpinali liny i mosty swoich okresów ponad wszystkimi przepaściami, których głębia była dla nich niewygodna. Nie mieli we krwi pól, obłoków i gwiazd. Byli drobnomieszczkańskim rodem o zatęchłych duszach z nieprzewietrzanych izb.

Wszystkich ich niejasny instynkt pchał w życiu do jakiegoś ciepłego pieca, gdzie wiadomo było, że drzewa wystarczy i nikomu nie będzie wolno otwierać okien na zimno. I dlatego wszyscy byli funkcjonariuszami, oczywiście z prawem do emerytury, i z początkiem każdego roku obliczali, ile jej sześćdziesiątych części im już przysługuje. Byli to portierzy i listonosze, zwrotniczy i aktuariusz, a wielcy rodu zasiadali za okienkami i pulpitemi w urzędach, ale zawsze z tym samym fałszywym spojrzeniem, chytrze uniżeni, szorstcy dla interesantów, płaszczący się wobec przełożonych, punktualni, poprawni, o pięknym charakterze pisma, nigdy nie chorowali, nigdy nie domagali się urlopu, godni zaufania, małomówni i pokryci kurzem jak szafy z aktami. Nie było wśród nich żeglarzy, nauczycieli,

Rozdział 1

artystów ani włóczęgów. Wytaczali się z rodowej wylęgarni jak jaja jednakowej wielkości, jednakowego kształtu, jednakowej barwy, a ich drzewo genealogiczne można by przedstawić jako szereg szaf, ustawionych pod nie kończącą się ścianą, malejących w perspektywie, seryjne wyroby jakiejś przedziwnej fabryki, która niestrudzenie produkowała ich wciąż coraz więcej.

Drzwi były zawsze zamknięte. Coś mówiło spoza nich upiornym głosem nagranej płyty, ale nikt nie widział jej mechanizmu. Przy swojej mieszczkańskiej solidności mieli w sobie coś szczurzego, niedostępność ich mieszkań, ponure czajenie się w spojrzeniu, macanie bladych, złych rąk, przemykanie się koło brudów i śmierci. Zawsze czekali nocy. Był wśród nich listonosz roznoszący przekazy pieniężne, który otwierał listy wartościowe, sekretarz zarządu powiatowego, który brał łapówki, aktuariusz, który prowadził pokątne interesy. Ale ani jednemu Zerrgieblowi niczego nie udowodniono, nigdy. Przenoszono ich na emeryturę, a oni znikali bezgłośnie w swych jaskiniach. W mroku pracowali dalej, ale tajemnica okrywała ich utajone życie. Byli oni duchowymi spiskowcami, ale nie uchylali swoich masek. Żaden z nich nie miał domu bez okiennic, drzwi bez klucza, drogi bez manowców, układu bez pisemnej umowy. I wszyscy mieli w trumnie małą, złą zmarszczkę między sterczącymi brwiami, nad którą dłoń śmierci nie miała władzy.

Taka była krew tych dwojga, których Bóg połączył w Boże Narodzenie. Nie było to radosne wesele i cień nieszczęścia padał ciężarem na biały obrus. Zaszło jedno tylko wydarzenie, które ożywiło zebranych: oto skrzypek odszedł od swego pulpitu, zbliżył się do stołu i położył przed talerzem Zerrgiebla dziesięciomarkówkę, którą ten w porywie wspaniałomyślności posłał kapeli, żeby zagrała "coś wesołego".

— Fałszywa, panie — powiedział stary i rzucił monetę na stół.

Zadźwięczała jak blacha i zapadło przykre milczenie.

Rozdział 1

Zerrgiebel sprawdził stan faktyczny, musiał go uznać i popadł natychmiast w gwałtowne oburzenie. Trzaskał głośno palcami, a wasy najeżyły mu się jakby złe i podniecone.

– Oto rodzaj ludzki – powiedział groźnie – w całej swej okazałości. Gadziny, złe od małego. Cóż tu znaczą więzienia? Klatki skorpionów powinno się dla nich budować. I przy wydatkach, jakie miałem w tych dniach, niestety, okropnie dużych wydatkach, nie wiem, kto mi ją wydał. Ale już ja się dowiem, jak mi Bóg miły, dowiem się! Nie mniej niż dwa lata więzienia, kochasiu, tak jest! A Zerrgiebel otrzyma nagrodę!

Przy stole zapanowało milczenie i wszyscy czuli głuchą niechęć patrząc na tego sprawiedliwego i słuchając jego groźnych słów.

– Ale ci dusigrosz – powiedział cicho starszy parobek.

Gina mrugnęła prosząco na ojca, a ten z wymuszonym żartem dał inną monetę muzykantowi, który wciąż jeszcze stał czekając bezradnie. Zerrgiebel z powodzeniem udał, że nic nie widzi.

Kiedy Gina przebierała się do odjazdu, towarzyszyła jej tylko służąca. Nie mówiły nic. Pokój był już wyprzątnięty i nieprzyjemny, a z dołu wdzierał się gwar zabawy. Potem Gina włożyła futrzaną czapkę na ciemne włosy i rozejrzała się wkoło jak ktoś, kto się rozgląda przed daleką podróżą.

– Bóg teraz się uspokoi, Margret – powiedziała.

Musiano ją podtrzymać, kiedy schodziła po schodach. Na dole stał ojciec, położyła mu na chwilę głowę na piersi. Z braćmi pożegnała się już wcześniej.

Wsiedli do sanek. Odwoził ich starszy parobek. Było cicho i ziemia lśniła pod wysokimi gwiazdami. We wszystkich zagrodach płonęły światła choinek, dalekie szczekanie psa niosło się od wzgórza do wzgórza. Gina zwróciła głowę, jakby ujrzała na polach pasterzy i

Rozdział 1

gwiazdę betlejemską, ale był tam tylko białawy mrok i wszystkie gwiazdy do siebie podobne. Nigdy jeszcze nie wydały się jej tak wysokie i zimne.

Wreszcie sanki zatrzymały się przed furtką ogrodową, po czym odjechały. Oto ścieżka między ośnieżonymi grządkami i trzy stopnie. Gina stawiała krok za krokiem i za każdym z nich czekała na przepaść, która się przed nią otworzy i w którą runie nie wydawszy krzyku. Ale drzwi domu otworzyły się, a pod lampą w wąskim korytarzu stało może dziesięcioletnie dziecko ze złą zmarszczką między sterczącymi brwiami, z rękoma w tył założonymi i patrzyło złośliwie na Ginę, a potem znowu przez ramię w ciemność, i Ginie wydało się, że szuka ono wśród desek podłogi dziury, z której bezgłośnie wyłoniło się i przez którą zniknie znowu w przepastnej piwnicy, gdzie kołyszą się pajęczyny i krople padają w bezdenną czelusć.

– To jest chłopiec – powiedział z uśmiechem Zerrgiebel i zasunął rygiel u drzwi. Zdawało się, że dom zadrżał od tego dźwięku aż do głębin piwnicy, i Gina podniosła dłonie z rozsuniętymi palcami, jakby chciała chwycić spadający sufit. Ale zaraz pochyliła się i pocałowała dziecko w czoło; wydało jej się, że chłopiec uśmiechnął się złośliwie przy tym pocałunku i wsunął ukradkiem rękę do kieszeni, aby cisnąć jej pod nogi zimnego, mokrego wielocłonowego robaka, który także nazywałby się Zerrgiebel.

I wtedy ugięła się pod dłońią Boga.